

Kruk krukowi oka nie wykole

Aleksander Ostrowski: „...i koń się potknie”. Komedia w 6 obrazach. Przekład Jerzego Jędrzejewicza, reżyseria Zygmunta Chmielewskiego, dekoracje i kostiumy Andrzeja Sadowskiego. Premiera w Teatrze Ludowym w Warszawie.

Jest w tej porywającej komedii Ostrowskiego scena, w której pewien zamożny, podtatusiały jegomość stręczy swemu ubogiemu i pokornemu krewnemu rodzoną żonę, aby uchronić ją od innych, mniej dla siebie wygodnych gachów. I jest w tej komedii inna scena, w której skompromitowane zostają zarówno tepy konserwatyzm jak obłudny liberalizm burżuazjiny. Oto przykłady obyczajowej i społecznej wnikliwości Ostrowskiego, jego odwagi pisarskiej, śmiałości, nawet zuchwalstwa. „Swoi ludzie — do wójtą nie pójdziemy” charakteryzuje postępowy demokrata Ostrowski mentalność współczesnych sobie klas posiadających, zaraz wam pokaże, powiada, jaka jest wasza moralność, co są wartości głoszone przez was przekonania.

I pokazuje początki pewnej kariery, zdumiewająco ostrym nakreślone piórem, zdumiewająco daleko posunięte w swoim demaskatorstwie, jeśli uwzględnić czas, w którym sztuka powstała.

Rzecz dzieje się w roku 1868, po niedawnej reformie uwłaszczeniowej cara — „liberała” Aleksandra II. Rosja wpłynęła na szerokie wody kapitalizmu, „przekłete pieniądze” (tytuł jednej ze sztuk Ostrowskiego) decydują o wszystkim, o powodzeniu, sławie, miłości. Kto ma pieniądze — przed tym świat stoi otworem, komu brak tego

klucza — jest niczym, mniej niż niczym.

A niejaki Jegor Dymitrycz Głumow cierpi dotkliwie na ów brak, a apetyt ma niezgorzszy. Ma też młodość, urdę, spryt, rozum do robienia wszelkiej kariery — cóż z tego, nawet Archimedes mógłby poruszyć ziemię dopiero mając punkt oparcia.

Tedy Głumow jest niczym. Zerem. Ale się nie zniechęca. Nie załamuje rąk. Jak tylu innych młodzieńców pragnie się koniecznie wybić, jak tylu innych młodzieńców w burżuazjnym świecie gotów za życiowy sukces zapłacić każdą cenę. Niby Eugeniusz de Rastignac na drugim końcu Europy — musi „zdobyć Paryż”.

I goły jak turecki święty, Głumow wdziera się przebojem w świat bogatych, poważanych, ważnych. Jakim kosztem? Każdego sposobu mu dobry, posłuży się „gorącym sercem” ciotki w balzakowskim wieku, zgęra na klawiszach próżności i ambicji miejscowych notabłów, ponizi się i upodlił byle dopiąć swego. Przy ciotce żigolo, przy eksceleńcjach figaro, przy bogatej dewotce świętoszek — Głumow prowadzi grę skomplikowaną a zarazem prostą, taką jaką mu dyktują warunki społeczne.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby...

„Koń ma cztery nogi a też się potknie”. Głumow ma pewną niewybaczalną w jego wa-

runkach słabość: żyłkę do pisanania. Musi przelewać na papier złote myśli, rozmowy, opinie o bliźnich. Papier już niedługo zgubił. I pamiętnik Głumowa też wpada w ręce ciotuni zakochanej, lecz płonącej chęcią zemsty za zdradę. Po czym dostaje się do rąk wyśmianego zjadliwie przez autora zwierzchni „towarzystwa”. Trzęsienie ziemi. Finał jak w „Rewizorze”.

Finał?

Na skompromitowaniu Tartufa kończy się „Świętoszek”; list Chlestakowa, ujawniający sprawki fałszywego rewizora, zamyka akcję sztuki Gogola. Ostrowski idzie dalej, idzie imponująco dalej. Schwytany na gorącym uczynku Głumow nie pozwala się pokornie odegnąć od zastawionego stołu. Wybucha grzmącą tyradą, niczym Czacki w „Mądremu białdą”. Z oskarżonego staje się oskarżycielem, obnaża całą podwójną moralność, zakłamania i nikczemność burżuazji, maskowane gładkim formami.

I zwycięża. Koń się potknął, lecz nie upadł. „Podpory społeczeństwa” muszą uznać, że cyniczny karierowicz Głumow jest z ich klanu. I po krótkiej kwarantannie przywróca go do swoich faworów, do żłobu — tym razem już na stałe. Z czasem zostanie Głumow eksceleńcją jak generał wstecznik, bogaczem jak rentierka - dewotka. Już się powrotem i nawróceniem zbłąkana owieczki zajmie doświadczona ciotcia, a kto wie, może i naręczona — która na razie skorzystała z zamieszania i padła chętnie w

objęcia jurnego wojaka — powróci ze skruchą do przedsiębiorczego Jegora. No i teraz życie potoczy się już prościutko, ciocia pogodzi się z ożenkiem młodego kochanka, wujaszek otwarcie udzielać będzie rad zaobcemu krewnemu — a w perspektywie Petersburg i pełny rozkwit talentów Jegora!

Sztuka Ostrowskiego, wspólnie napisana, zbudowana bezbłędnie, hojnie wyposażona w znakomite role i świetne sytuacje sceniczne, należy do arcydzieł światowej literatury dramatycznej XIX wieku, równie reprezentatywna jak drwiny Gogola wcześniej, a satyra społeczna młodego Shawa później.

Obskurant Kruticki, liberał Gorodulin, karierowicz Głumow, a dokoła nich ciemnota i zacofanie. Koło jest zamknięte. Jakże z niego wyjście? Już Dobrobyłow nazwał w 1859 roku świat, pokazywany przez Ostrowskiego „królestwem mroku”. Ostrowski wyjścia z niego nie nazwał, wyjścia z niego nie widział. Wskaże na nie dopiero ten, który stał się właściwym następcą Ostrowskiego w rosyjskim teatrze realistycznym — wskaże Gorki, pisarz, który po epoce realizmu krytycznego otwarł epokę realizmu socjalistycznego.

Ostrowski był w Polsce burżuazjnej niemal niezany. Zbyt niepoehlebnie odbijały oblicza jego zwierciadła. Dopiero obecnie coraz pełniej, coraz bardziej systematycznie odsłania się przed nami twórczość tego wielkiego pisarza. Teatr w Polsce Ludowej zrozumiał, jak niewyczerpane i cenne złoża tkwią w sztukach Ostrowskiego. Podjęte przez PIW wydanie tych sztuk drukami też się przyczyni do upowszechnienia znajomości dzieł Ostrowskiego.

Gorąco tedy należy pochwalić Teatr Ludowy za śmiałość z jaką sięgnął do puścizny po Ostrowskim i porwał się na wystawienie jednej z jego sztuk. Nie brak wprawdzie w tej młodzieńczej decyzji pewnej lekkomyślności. Ale fakt, że sztukę ogląda się w dalekim teatrze na Pradze z przyjemnością i że widownia z zapałem bła brawo, chwytając w lot rękawy — świadczy, że Teatr Ludowy nie całkiem się załamał w próbie sił. To prawda, że są w przedstawieniu role zmarnowane, puszczone (dotyczyła uwaga zwłaszcza prymitywnie ustawionych postaci pani panny Turusin oraz uwąskowanego oficera Kirczajewa) i że reżyseria nie zawsze umiała wyśrodkować właściwą linię pomiędzy drapieżną satyrą i głęboko psychologiczną treścią sztuki, a jej humorem, który potraktowała przeważnie powierzchownie, a czasem natretnie. Ale niektóre role zdały częściowo egzamin (mocno trudno, wybrnęła też po części z trudności scenografia Sadowskiego).

Zbieta Wiczorkowska nie wyżyła niestety bogactwa roli cioci Kleopatry, która przeżywa w sztuce nie tylko komedię, ale i dramat romansu starzejącej się kobiety. Rolę Głumowa starał się udźwignąć Zbigniew Łobodziński: nie starczyło mu oddechu w wielu ważnych momentach, ale to aktor niewątpliwie utalentowany i zasługujący na uwagę. Kazimierz Dembowski usiłował spod maski dobroduszności ukazać zarówno głupotę jak i cynizm „zanego wujaszka”. Kazimierz Pełcki swobodnie zagrał pozującego na liberalizm Gorodulina.

W roli generała Krutickiego Artur Kwiatkowski nie potrafił się zdecydować, czy ma grać

postać z komedii czy z farsy; i szala wahała się raz w tę raz w ową stronę. Lucyna Bracka zagrała przyminłą trusią a nie sprytną i na swój sposób przebiegłą i wyrachowaną współniczkę matactw syna, jaką jest matka Głumowa.

Wyraziste sylwetki rezydentek Turusinej umiały narysować Maria Stajewska i Aldona Pawłowska. I o jeszcze jednej postaci z tej sztuki nie zapomnijmy, o oszukańczej dewotce Maniefie, chytrej babie, zerującej na zabobonie. Toż to pierwowzór znachorów i jeźdźców obkoczonych chorego Bułyczowa, plaga, wypłeniona z Rosji dopiero po roku 1917. Helena Gruszecka słusznie ukazała w Maniefie wredną, odstręczającą jarmarcznią kuglarke.

Komedia Ostrowskiego, graną w Teatrze Ludowym pt. „...i koń się potknie”, w oryginalnym rosyjskim nosi nieprzetłumaczalny tytuł „Na wsiakowo mudreca dowolno prostoty”. Już ten szczegół odsłania trudności sztuki. Język Ostrowskiego, zwarty a posługujący się często-gęsto przysłowiami i obrazowaniem ludowym, wymaga szczególnie usilnej i mozolnej pracy nad przekładem. Należy stwierdzić, że w osobie Jerzego Jędrzejewicza znalazł teatr Ostrowskiego tłumacza uważnego, sumiennego, ścisłego a pełnego szczęśliwej inwencji; przekłady jego są żywe i potoczyste; usterek w nim niewiele i łatwych do usunięcia.

Na Szwedzką z lewobrzeżnej Warszawy daleka droga. Ale się opłaca. Tramwaj nr 4 dowozi na miejsce. Warszawy prawobrzeżnej zachęcać nie potrzeba. Bez zachęty trafia do swego teatru, nie potykając się po drodze. I wychodzi z przedstawienia sprawiedliwie zadowolona.